Rok III 27 grudnia 1931 Nr. 52

DZWONECZEK

JEZU MALEŃKI...

Jezu maleńki, Dzieciątko Boże,
Hołd Ci miłości składam w pokorze;
Tyś dziś na ziemię zstąpił Sam,
Ażeby pokój przynieść nam!

Jezu maleńki, Zbawienie świata,
Ku Tobie dusza moja ulata,
Cała ma istność Tobą tchnie,
Boś Ty mój Bóg — Ty kochasz mnie!



Jezu maleńki, Skarbie mój drogi,
Ja Ci me serce rzucam pod nogi,
Ofiary dziś nie odrzuć mej,
Lecz zdrojem łask mnie darzyć chciej!

Dziecko Marji.

SZCZĘŚCIE I SPOKÓJ.

Kochane dzieci! Przed 1931 laty w noc wigilijną przyszedł na świat Pan Jezus. Chociaż jeszcze niemowlęciem był, już poznano w Nim prawdziwego Boga, bo wnet pasterze, ba nawet królowie z dalekich stron przyszli Mu się pokłonić. Przeczuli bowiem w Tej Dziecinie — Pana nad Pany, „Który przynosi ludziom bogobojnym szczęście i pokój.

To też kiedy nadchodzi wieczór wigilijny, a z nim ta wielka pamiątka przyjścia na świat Zbawiciela, któż może się oprzeć wzruszeniu. Kiedy pierwsza gwiazdka zabłyśnie, przy zastawionej wieczerzy łamią się wszyscy opłatkiem i życzą wzajemnie szczęścia i pokoju. Jakąż radością napełnia serca płonąca świeczkami choinka i śpiewane zgodnym chórem kolendy.

Niestety — jakkolwiek Chrystus do wszystkich przyszedł na świat, to przecież nie wszyscy ludzie mogą się cieszyć w noc wigilijną. Jednym źli i przewrotni nie dadzą iść na Pasterkę, a nawet zaśpiewać kolendy pod karą ciężką. Tak jest właśnie od kilkunastu lat w Rosji bolszewickiej. Drudzy — to poganie, ci jeszcze nie znają Chrystusa. Im nie zaświeci pierwsza gwiazdka wigilijna i nie połamią się opłatkiem.

Ale i wśród was jest tyle sierot bez opieki, bez dachu nad głową, do których ani święty Mikołaj nie zaglądnął, ani we święta nie mają choinki. Może głodni stoją tuż u proga prosząc o wsparcie. Jakże przykro im być musi, gdy widzą jak wy się cieszycie i śpiewacie wesoło. A przecież i oni mają takie same prawa, jak wy. Z pewnością wielu z nich nie byłoby tak smutno we święta, gdyby ludzie byli litościwsi i pamiętali o nich. Dlatego przynajmniej wy, kochane dziatki, uczcie się już od dzieciństwa nie zapominać o tych biedakach, by nie musieli, odepchnięci gdzieś na ulicy, przymierać z głodu i zimna, jak Chrystus w stajence betlejemskiej. Wspomagajcie ich jak możecie. Proście za niemi rodziców o litość.

Również za nieszczęśliwych w bolszewji i za pogan o nawrócenie nie zapominajcie pomodlić się we święta. Wtedy rzeczywiście prawdziwe szczęście i pokój zapanuje w sercach waszych, bo każdy dobry uczynek a zwłaszcza miłosierdzie nagradza Bóg już tu na ziemi radością wielką.

OPŁATEK.

Rozesłała matuś miła
sianko pod obruskiem,
a na sianku położyła
opłatek z Jezuskiem

i, zwoławszy swe pisklęta
o szarej godzinie —
powciskała im w rączęta
po białej kruszynie:

– Bierzcie! – rzekła ten opłatek,
widomy znak chleba,
bowiem w sobie ma zadatek
prawdziwego nieba! —

— — — — — — —

Uśmiechnęły się oczęta,
nic szczęścia nie głuszy!...

— — — — — — —

Matuś także uśmiechnięta:
niebo ma w swej duszy!...

E. Kłoniecki.

LEON DĘBIEC.

UŚMIECH CHOINKI

Ignac od rana płakał, gryzł poduszkę, wierzgał nogami i nie dał się ani dotknąć nikomu.

— Złe dziecko — mruczała ciotka Barbara i podparłszy rękami boki, poważnie kiwała się w stronę pani Zofji. A pani Zofja miała twarz i oczy z bladej mgły — i łamała palce, nie mogąc sobie znaleźć miejsca w pokoju. Patrzyła tylko żałośnie na Ignaca i na dzieci, — i znowu odrywając od nich wzrok, smutnie uśmiechała się oczami do ciotki Barbary: — Basiu! nie tak złe, jak słabe i bólu przetrzymać nie może...

A Ignac ciągle wił się po łóżku, jak węgorz, — syczał, wrzeszczał, to na chwilę cichł i końcem pierzyny dławił krzyk w ustach. Adaś, Julek i Marysia chodzili osowiali z kąta w kąt, prawie nie mówiąc do siebie.

Tylko od drzwi do stołu przechadzał się butnie bury kot i leniwie odrywając ślepia od podłogi, gonił wzrokiem po ścianie pozostałe na zimę duże muchy. Nawet najmłodszy Adaś nie zwrócił na niego uwagi... Przecie tak smutno! — Dziś wigilja, a tu Ignaś chory...

Znowu Ignac podniósł się i w zębach unosząc poduszkę, zajęczał.

— Basiu, — nie! nie! Pójdę, — muszę pójść! — rzekła pani Zofja. Nadęła się nagłą złością ciotka Barbara; — Ale zlituj się, Zosiu, — do Dzikowa 6 kilometrów i taka wichura!.. Jeszcze cię gdzie zasypie w drodze!..,

— Nie! nie! Muszę pójść... Te krople z apteki zawsze mu pomagały — zadygotał na ustach pani Zofji smutny uśmiech. Narzuciła na plecy kożuch, okręciła szal koło szyi — i w drogę!

— Boże! 6 kilometrów... Zlituj się, Zosiu! — rzuciła się ku drzwiom ciotka Barbara. Napróżno!... Zostali w izbie bez matki. Kot znużony ciszą — ziewał co chwila, wreszcie pobiegł truchcikiem w stronę łóżka i wdrapawszy się po nodze, usiadł na pierzynie, troskliwie otuliwszy się ze wszystkich stron ciepłemi piórami. Julek i Marysia uklękli obok siebie na krzesłach i nachyliwszy się nad stołem oczami, przeglądali dużą książkę, pełną zwierząt i widoków. Za każdem odwróceniem karty, wyskakiwał z białej stronicy ku rozciekawionym spojrzeniom — to lew, to niedźwiedź, to wilk... Czasem Julek zapominał się i podskakując na krześle, wykrzykiwał — O! O! O! — i palcem pokazywał czarne kółko na papierze. Wtedy Marysia z przerażeniem w oczach nachylała się ku niemu i kładąc palec na wargach szeptała; — Cicho! Ignaś chory...

Adaś zaś nudził się, patrzył co chwila w okno — na śnieg i na drzewa, wreszcie zbliżył się do ciotki Barbary, która kiwała się na krześle, nieledwie usupiając i szepnął; — Ciociu! czy Ignaś wyzdrowieje?

Poruszyła się i rzekła: — A czy ja wiem!? Niechby nie chodził po lodzie. Noga mu z niczego nie spuchła. Jakby się nie skąpał w przerębli, nie przeziębiłby stawów...

— Tak! tak! a przecie na lodzie tak przyjemnie — pomyślał Adaś i z powrotem poszedł bębnić palcami po szybie. Za oknem szalała wichura. Wiatr gwizdał, skowyczał i bił zaciekle w szyby grudkami śniegu. Oblepione białą korą gałęzie wiły się na wietrze, przeraźliwie zawodząc na jedną i tę samą nutę; Hu-a! hu-a!...

— Ale zadymka!? I potrza to było matce iść — szepnęła ciotka Barbara i lewą ręką zgoniła z pierzyny kota na ziemię. Leniwie odrywając miękkie pięty od podłogi, powlókł się przeto wolno ku drzwiom...

Było może południe, gdy Ignac uspokoił się i odwróciwszy się do ściany, zakrył głowę pierzyną — i zasnął. Odetchnęli wszyscy i na palcach przeszli do kuchni. Upłynęło od południa kilka godzin, a tu pani Zofji, jak niema tak niema!

— I potrza to było iść na taką zawieję — mruczała ciągle ciotka Barbara i niespokojnie zaglądała do oczu Adasiowi. Około godziny 3 podszedł Julek do ciotki Barbary i nieśmiało chowając oczy w ziemię, wybąkał: —

— Ciociu! wyjdziemy po mamę...

— Tak, po mamę?! Powiedz lepiej: na lód...

— Ale nie!

Zgodziła się, nie przestając jednak mruczeć: — I potrza to było iść!.. Taka zawieja... Julek, zlituj się, nie wychodźcie dalej, niż pod Sielec...

Dzieci uradowane wybiegły i poszeptawszy za drzwiami kilka minut, z pośpiechem wyleciały na dwór. A ciotka Barbara, przecierając oczy, cicho

podreptała do pokoju, usiadła koło łóżka i ułożywszy kota na podołku, zdrzemnęła się trochę. Raptem zatrzęsła się i zrzuciwszy kota na ziemię, wrzasnęła: — Co jest? Co jest?

Pochylił nad nią zaczerwienioną twarz Ignaś: — Mamy jeszcze niema?

— Nie! Wstała i troskliwie otuliła mu nogi, mówiąc: — Ciepło, co? A patrz, jaka zawierucha na polu...

— A Adaś, Julek, Marysia? — cichutko spytał.

— Poleciały po mamę.

Westchnął i odwrócił się do ściany z powrotem. Nachyliła się nad nim i prędko wyrzucając słowa z ust, głaskała go po włosach: — I potrza to było! — Lód był cienki, a ty musiałeś wejść, — zuchowałeś się, żeś najzgrabniejszy... Oj, Ignac! Ignac! Wiesz ty, co to znaczy zapalenie stawów?! Czy ty wiesz? To, to może skończyć się kalectwem... Słuchała, czy odpowie? Nic... Nakrył się pierzyną i długo dławił się wstrzymywanym płaczem... I znowu minęła godzina, a pani Zofji i dzieci, jak niema tak niema! Podniósł się znowu Ignaś i szepnął: — Jeszcze niema?

— Nie! Wychyliła z kuchni głowę ciotka Barbara.

— Weź mię! — wyciągnął ręce. Wmig podleciała i miękko wzięła go w ramiona. Stanęli przy oknie.

— Patrz! — zawołał Ignaś — jakie zaspy pod stodołą, a na lodzie dzieci...

O! Rózia Duszkiewiczowa, Staszek Gądek, Jaś Wójcik... Patrz! jak wiatr zdarł z lodu do czysta śnieg. O! O! O! przewrócił się Staszek! O! O!

Po chwili spochmurniał i kazał się odnieść na łóżko...

Zmierzchało się i wiatr trochę nacichł, gdy drzwi się otwarły i do izby wpadła śniegiem od stóp do głowy osypana pani Zofja. Poderwała się ciotka Barbara i krzyknęła: — A dzieci gdzie?

— A co, niema ich?

— Poszły po ciebie do Sielca.

Zachwiała się pani Zofja do tyłu: — Basiu!? — Och, Basiu!?

— Nie! nie! Ignaś śpi... Chodźmy na olszynę z latarnią. Może są na łodzie — szepnęła ciotka Barbara. — Po chwili już pędziły z latarnią przez podwórze.

— Oj, Basiu! na taką zawieję ich puściłaś, — na taką zawieję! — sykotała pani Zofja. Obwijał się naokoło nich szorstki wiatr i rozdymał żółty knot w latarni... Oj, Basiu! Basiu!?...

Obudził się Ignaś i ze wzruszenia schował się z powrotem pod pierzynę. Po chwili znowu wychylił głowę i wyjrzawszy wilgotnemi oczami, pieszczotliwie przygarnął do siebie całą izbę. Na stole stała choinka i uśmiechała się trójkątnym wierzchołkiem, unosząc się na skrzydłach ku powale. Z jednej strony stała Marysia i narzucała na zielone szpilki srebrne i złote nici; z drugiej kręcił się Julek i zawieszał na gałązkach jabłka i orzechy.

— O Matko! — krzyknął Ignaś i znowu skrył się pod pierzynę. Gdy poraz trzeci popatrzał na choinkę, kołysał się na szczycie anioł, a po bokach tyle cudności!... Pani Zofja pierwsza przyszła do niego i nachyliwszy się, szepnęła: — Napijesz się lekarstwa?

Napił się i choć gorzkie było, słodko uśmiechnął się do jej smutnych oczu.

— Boli cię noga?

— Niebardzo! — i pokazując na choinkę, spytał: — Skąd to, mamo?

— Z Jasienia.

Podleciał Adaś, to mrużąc, to szeroko otwierając czarne oczy i uśmiechając się, bezładnie paplał: — Wiesz, Ignaś, byliśmy na Jasieniu. Julek mówił leśnemu i Paweł dali nam choinkę. Patrz, jaka ładna i jak pasuje do naszego okna... A taki wiater dął, że ani kroku nie mogliśmy ujść... Dopiero mama z ciotką wyszły po nas z latarnią...

— Tak! tak! — uśmiechał się ciągle Ignaś.

A po wilji pani Zofja wzięła go na ręce i delikatnie obnosiła go w ramionach po izbie. Adaś, Julek i Marysia zaświecali na choince świeczki. Przytulił się płową główką do bladej twarzy matki i cichutko szeptał:

— Mamo! ja wiem, że źle zrobiłem, ale ja nie przeciw tobie, — ja nawet bardzo źle, ale nie przeciw tobie....

— Dobrze! dobrze, Ignaś! — głaskała go po włosach.

— Bo wiesz, lód był taki gładki i tak mię korciło, a Staszek Gądek już prześlizgnął się na drugą stronę...

— To nic, to nic! Noga wyzdrowieje, nie bój się, Ignaś! Pan Jezus taki dobry — rzekła i miękko ucałowawszy go w czoło, zanuciła: — Lulaj że, Jezuniu, moja perełko, lulaj ulubione me pieścidełko... i huśtała go na rękach.

— Lulajże, Jezuniu, lulajże, lulaj — ciagnęli już wesoło Julek, Adaś i Marysia. Piskliwie wtórowała im ciotka.

Wieczne pióro.

Nie jedno z was posiada t. zw. wieczne pióro, a z pewnością nawet nie wie, jak też dawno zostało wynalezione takie pióro. Zdawałoby się, że jest ono wynalazkiem niedawnym. A tymczasem wieczne pióro liczy zgórą 175 lat.

Oto bowiem w angielskim słowniku z roku 1754 mamy wzmiankę, że już wtedy znano takie pióro. Mianowicie było to pióro ze srebra lub miedzi, zrobione w ten sposób, by w jego wnętrzu mogła znajdować się dość znaczna ilość atramentu, który spływał na koniec małemi kropelkami. Jak stąd widzimy już w XVIII wieku, kiedy powszechnie używano do pisania »gęsich piór«, znane i używane było także wieczne pióro.

Marja Czeska-Mączyńska.

Przygoda z zawijańcem.

Utarła mama mak
i tak i siak,
jak to mak.
Dała pomarańczowej skórki,
drobniutko usiekanej,
jajek, masła, wanilji
i cykaty krajanej.
Słowem, mak był wspaniały,
były nawet migdały.
I znów trze mama mak
i tak i siak,
jak to mak.
Ciasto już wyrobione.

O! Jak wyrosło ładnie!
Dajcież je na stolnicę,
bo nam jeszcze opadnie,
trzeba go wywałkować
i makiem posmarować.
Smaruje mama mak
i tak i siak,
jak to mak.
Teraz jeszcze podrośnie,
dziwy, jaki udany,
jajkiem go posmarować,
będzie, będzie cacany!
Staś miskę wylizuje,

Maryś z łyżki smakuje.
O pyszny! Pyszny mak!
Więc tak i siak,
jak to mak.
Spojrzy mama na dzieci:
— Cóż to rosną im brody,
jakieś dziwne wąsiska,
nie dodają urody.
Ach a ubranka białe
posmarowane całe...
Ach prawda, jedli mak
i tak i siak,
jak to mak.
Umyła mama dzieci,
nie żałowała wody,
zmyły się czarne wąsy
i kropkowane brody
lecz tymczasem, o Boże,
co to się stać nie może,
wykipiał z ciasta mak
i tak i siak,
jak to mak.

Rycerskie przygody Miłosza

(Ciąg dalszy)

Król poznawszy Miłosza, ucieszył się wielce zwłaszcza, kiedy się dowiedział, że nareszcie iest koniec ze złym czarnoksiężnikiem, zawołał przeto zapłakaną Jagusię i rzekł do Miłosza: — Com niegdyś rzekł — dzisiaj przypominam, a zarazem zapytuję czy chcesz synu moją sierotkę za żonę?



Ukryte małpy rażą wędrowca kokosami. Nieszczęsny nie wie gdzie są. — Pomóżcie mu szukać?

— Ależ tak! — odparł Miłosz z całą prostotą.

— A ty, Jagusiu, czy chcesz Miłosza za męża?

— Tak! tatusiu, tylko ja mając ciebie, nie jestem sierotą.

— Będziesz nią wnet, kochanie — ale ja spokojnie umrę powierzając cię tak zacnemu młodzieńcowi na całe życie. — Miłoszu! bądź dobry dla niej — prosił jeszcze.

Dni żałoby po dobrym królu Niskorusie miały się ku końcowi, zaczęto się więc powoli przygotowywać do zaślubin Jagusi z Miłoszem. Krawczynie szyły suknie ze złotogłowiu dla panny młodej, a dla pana młodego jako przyszłego króla kuto szczerozłotą koronę. Od kupców wszelakich roiło się w zamku jak w ulu, bowiem przyszli młodzi państwo wiele, wiele rzeczy nowych potrzebowali. Miłosz kupił sobie ślicznego konia araba i drogocenną uprząż na niego, na nim to wybierał się w drogę do swoich rodziców, aby ich na swój ślub prosić, lecz wpierw chciał powrócić syna owej staruszce z gór, a był on do tej chwili więziony na koralowej wyspie. — Kazał przeto

przywołać karła do siebie, aby się odeń dowiedzieć, gdzie go szukać należy. Drżąc stanął karzeł przed Miłoszem, gdy tenże łagodnie zapytał:

— Powiedz, biedny człowieku, gdzie twój pan uwięził syna staruszki?

Długo karzeł nie rzekł słowa zdziwiony dobrocią Miłosza, poczem odparł: — Darujcie mi panie wolność a chętnie zaprowadzę was do niego.

— Najchętniej to uczynię i zostaniesz gdzie zechcesz.

Ucieszony karzeł zaraz radził wybrać się w drogę upewniając się jeszcze czy mu ognistej kuli nie odbiorą?

— Nikt ci jej nie odbierze, kiedy ona tobie potrzebna.

Karzeł coś z radości począł bełkotać, lecz Miłosz już nie słuchał, gdyż spieszno mu było do drogi. W niedługim czasie Miłosz z kilkoma żołnierzami znów się znaleźli w znanych nam podziemiach, prowadzeni przez karła, który przeskakując z nogi na nogę biegł szybko naprzód, gdyż pilno mu było na wyspę koralową, która od tej pory do niego miała należeć.

— Wszystko moje! wszystko moje! — powtarzał sobie.

Idąc pospiesznie, wkrótce znaleźli się w pałacu koralowym, gdzie w podziemiach jednej wieżycy jęczał przykuty do muru syn staruszki. Natychmiast go uwolniono, a gdy mu powiedziano że wraca do matki z radości wszystkim na szyje się rzucał i całował, nie wyłączając karła. Zaraz zabrano się do zbudowania mocnej tratwy i jeszcze tego samego dnia przybili do brzegu, poczem oddawszy syna uradowanej matce, spieszyli teraz do zamku pokrzepieni cudownym napojem ofiarowanym im przez staruszkę. Miłoszowi pilno było do borów do swoich rodziców i ledwo wrócił zaraz się w nową wybrał drogę. Jagusia ze łzami w oczach żegnała go przy bramie zamkowej i prosiła, aby wracał szybko z powrotem.

— Wrócę, Jagusiu, wrócę — pocieszał ją — i nigdy już nie ruszę z domu bez ciebie — poczem wsparłszy ostrogami swego araba, ruszył przed siebie. — Ciekaw jestem — myślał w duszy — co też moi drodzy rodzice porabiają? tyle czasy nie było mnie w domu. — Tą myślą przejęty raźno jechał wzdłuż owego strumyka, po którym na łopuchowym liściu zajechał do kraju Niskorusa. Gdy coraz dalej zagłębiał się w olbrzymi bór, przypomniały mu się chwile jego chłopięce tak mile w tym borze spędzone i myślał bodaj że ze smutkiem — poco mi innego życia pełnego troski i niepokoju od złych ludzi? — Lecz gdy wspomniał na Jagusię, na jej dobroć, na jej sieroctwo, taka litość go brała, że radby już być z powrotem na zamku. Pospieszał więc ile mógł naprzód, wreszcie któregoś wieczora usłyszał głosy rogów bawolich zwołujących jego współbraci do ognisk domowych. Łzy rozczulenia miał w oczach, gdy poczuł się tak blisko swoich, radośnie podciął konia i w parę chwil był w objęciach rodziców, którzy go mieli już za umarłego. Powitaniom nie było końca, wszyscy się doń garnęli dopytując o ten nowy nieznany świat, nie mogąc się nadziwić pięknemu strojowi.

Wreszcie zmęczony rzucił się na stos skór i zasnął snem twardym. Sen to musiał być jakiś przykry, bo rzucał się z boku na bok, a dobra matka czuwająca nad nim już myślała że chory, lecz rankiem ku wielkiej radości rodziców wstał zdrów jak ryba tylko z dziwnym lękiem w sercu lecz gdy spojrzał w uradowane oblicze swej matki lęk się rozwiał, jak dym. Stary Złotoróg to przymierzał, to zdejmował piękne odzienie syna, a już koń ze złocistą uprzężą najwięcej mu się podobał. Wieczorem po dziennej pracy, gdy znów zasiedli przy wspólnem w lesie ognisku, Miłosz opowiadał i opowiadał zdumionym słuchaczom swoje przygody ze smokiem, o czarno-

księżniku i o królewnie. Wielu z młodzianów dopraszało się iść w świat z nim, on chętnie na to przystał, gdyż miło mu będzie mieć swoich przy boku. Gdy już wszystko gotowem było do powrotnej drogi, gdy pani Złotorogowej poszyto suknie według wskazówek Miłosza, przysposobiono ozdobną łódź, Miłosz żegnał znowu rodzinną zagrodę. Po długich, długich dniach drogi wśród wesołego gwaru i radości, stanął Miłosz ze swojemi gośćmi pod bramami zamku, lecz zdziwił się wielce, że nikt nie wyszedł mu naprzeciw-

C. d. n.

Kącik rozrywkowy

Rozwiązanie kącika rozrywkowego z N-ru 48-go. Zagadka: Igła. Wizytówka: Misjonarz.

Dobre rozwiązania nadesłali: Marjan Kusionowicz, Orzeł Czubaty, Jacek Barbacki, i „Niezapominajka".

Rebus (ul. „X-wo").



Uśmiechnij się!

Starszeństwo.

— Oj Dawidek, pfuj, jaki ty jesteś brudny!

— Daj spokój, przecie tyś jeszcze brudniejszy.

— Tak, ale ja jestem od ciebie o kilka lat starszy.

Zapobiegliwy.

Tatusiu, zanim tatuś wyjdzie, niech mi tatuś da w skórę...

— Co ci się znowu zachciewa?

— A bo tatuś zakazał mi iść do parku, ja właśnie chcę tam iść, a to strasznie nieprzyjemnie przez cały czas myśleć, że po powrocie dostanie się lanie.

Odpowiedzi Dzwoneczka

„Niezapominajka" — umieścimy, muszą jednak poczekać na swoją kolej. *M. W.* — chętniebyśmy zamieścili, ale b. słabiutkie, może następne będą lepsze. *Stefan Czaja* — za liścik dziękujemy, czekamy na prace, które obiecujesz przysłać.

Pozatem wszystkim małym Czytelnikom redakcja „Dzwoneczka" życzy Wesołych Świąt. A piszcie więcej do „Dzwoneczka", bo mu bardzo tęskno za waszemi liścikami, szczególnie teraz we święta.

RZECZY CIEKAWE.

Narty są wynalazkiem Skandynawów i od nich wszystkie narody przyjęły je pod nazwą „ski", jedynie tylko Polacy nazwali „nartami". Narty w Polsce były znane już za panowania Stefana Batorego w r. 1578, a więc przed 300 laty. W roku 1606 nawet na nartach prowadzili Polacy walki z Moskalami. Po obu stronach istniały liczne oddziały narciarzy, częstokroć powyżej tysiąca żołnierzy.